PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 8. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **15. Kwietnia.**

Zdarzenie z życia Napoleona I.

Słyszałyście zapewne już nieraz kochane dziatki o Napoleonie I. cesarzu Francuzów. Był to wielki monarcha, wojownik jakich świat miał nie wielu — przed orężem jego drżała Europa cała i nie było nikogo któryby nie musiał ugiąć przed jego zwycięskiemi orłami hardego czoła.

Lecz nie myślę wam opowiadać o jego czynach wojennych, o jego zwycięstwach i zdobyczach, o jego śmierci wreszcie na wygnaniu — bo o tem w swoim czasie obszernie się dowiecie; opowiem wam tylko mały lecz piękny wypadek z jego

życia—tem ciekawszy dla was, mali czytelnicy, ile że dotyka on młodocianego wieku tego wielkiego bohatera.

Napoleon był synem niebogatych rodziców — a w młodości swojej nieraz musiał stawić czoło niedostatkom. Gdy był malcem jeszcze dano go do szkoły wojskowej. Tu już odznaczał się chlubnie mały Napoleonek, a przyszły jego jeniusz, którym później świat zdumiał i zatrwożył, począł się już wtedy okazywać w nadzwyczajnych zdolnościach i energji.

W szkole wojskowej celował przedewszystkiem Napoleon w matematyce i umiejętnościach wojennych. Zamiłowanie jego do żołnierskiego zawodu nie objawiało się jedynie w nauce, lecz przebijało się we wszystkich jego zabawach i igraszkach. Najmilszą rozrywką małego Napoleonka była gra w wojnę i wyprawy zbrojne, w których zawsze jako naczelny wódz figurował.

Przy szkole wojskowej, w której umieszczono Napoleona, znajdował się ogród nie wielki, otoczony dokoła murem. W tym to ogrodzie lubiał spędzać samotne chwile przyszły monarcha francuski i tu układał swoje dziecinne manewry i wyprawy.

Owoż pewnego letniego wieczora, kiedy po ukończonych godzinach szkolnych uczniowie wojskowej szkoły udali się na przechadzkę Napoleonek wkradł się do tego ogrodu, aby się oddać samotnym dumaniom i zabawkom, które były przeczuciem przyszłej jego wielkości i sławy.

Gdy Napoleon oglądnął się do koła i przekonał się że nikt mu nie przeszkadza, wziął się zaraz do roboty. Nazbierał mnóstwo kamieni i począł je ustawiać niby wojsko w dwie nieprzyjacielskie armje. Wysuwał naprzód kolumny, wykonywał ruchy, wyciągał i zwijał skrzydła i układał najrozmaitsze plany wojenne.

Gdy tak mocno zajętym był swoją zabawą usłyszał nagle za sobą szelest jakiś. Obejrzał się i spostrzegł jednego z swych kolegów, który ciekawy co robi Napoleon w samo-

tnym ogrodzie, wdrapał się na mur, aby z nienacka zejść tajemniczego malca.

Napoleonek przeszkodzony tak niespodziewanie w swych kombinacjach wojennych, zawołał z gniewem do kolegi:

— Zleż natychmiast i ruszaj!

— Ou! — odpowiedział uparty malec i począł drapać się do góry.

— Mówię ci, idż precz! — wołał dalej rozkazującym głosem Napoleon i poczerwieniał z gniewu.

— Nie pójdę! — odpowiedział opryskliwie tamten.

Napoleon podniósł jeden z największych kamieni i zamachnąwszy się nim groźnie, zawołał:

— Pójdziesz?...

— Nie! — odparł ze śmiechem uprzykrzony malec i wylazł na sam wierzch muru.

Wtedy Napoleon uniesiony najwyższym gniewem porwał kamień do góry i ugodził nim w same czoło swego małego towarzysza. Krew oblała natręta i przygłuszony uderzeniem spuścił się na dół.

Widok krwi zatrwożył bardzo małego bohatera. Porzucił natychmiast zabawki i pobiegł ku zranionemu. Kolega płakał z bolu. Rana nie była wprawdzie niebezpieczna, ale krew lała się obfitą strugą z czoła.

— Będę skarzył — wołał szlochając mały natręt.

Napoleon bał się bardzo kary, bo umysł jego dumny i wyniosły nie mógł znieść nigdy choćby najmniejszego upokorzenia.

— Nie skarz, proszę cię! — rzekł do skrwawionego malca.

— Aha! A widzisz coś mi zrobił! — odpowiedział tenże wśród płaczu.

— Nie płacz i nie skarz się a ja ci to wynagrodzę! — mówił dalej proszącym głosem mały Napoleon.

— Jakżeż mi ty wynagrodzisz? —

— Będziesz widział że cię wynagrodzę po królewsku! — zawołał z dumą mały Napoleon, jakby przeczuwał że w jego drobnej dłoni spoczywać będzie kiedyś berło całej Europy.

Zraniony malec uspokoił się, a że miał dobre serce, więc przebaczył Napoleonowi i nie skarżył się nań przed przełożonymi. Tak poszła cała rzecz w niepamięć, a oba koledzy rozstali się w kilka lat z sobą bez nadziei obaczenia się kiedy w życiu.

Od tego wypadku minęło lat bardzo wiele. Napoleon dorósł w młodzieńca i szybko dobijał się coraz wyższych stopni, coraz świetniejszych godności. Z oficera wyszedł na zwycięskiego jenerała, jenerał stanął rychło na czele francuskiej republiki, prezydent republiki zasiadł niebawem na tronie, a cesarz Francji przerobił u stóp swoich świat prawie cały!...

Napoleon stał na szczycie swej potęgi, podbijał kraje, obalał trony, zrzucał królów i nowe tworzył państwa. A czy pamiętał o swoim towarzyszu, którego tak niegdyś kamieniem poczęstował?... Trudno--Czyż mogła w pamięci mocarza całego świata znaleść miejsce taka drobnostka z lat dziecinnych!

Napoleon wrócił był właśnie po jednej z swych zwycięskich wypraw do Paryża. Pracował nad nowemi planami, przychodził na nowe olbrzymie pomysły. Pewnego dnia zajęty niemi mocno, zakazał wpuszczać kogokolwiek do siebie, aby tem swobodniej oddać się mógł pracy.

Tymczasem wszedł do zamku cesarskiego jakiś z uboga ubrany człowiek i zażądał widzieć się z cesarzem. Mimo przedstawień iż z cesarzem widzieć się dziś nie można, domagał się tego uporczywie i dotarł aż do przedpokoju przy gabinecie Napoleona. Straż tu stojąca nie pozwalała mu iść dalej:

— Chcę się widzieć z cesarzem! — wołał nieznajomy.

— Nie można! Cesarz nie przyjmuje nikogo — odpowiedziały straże.

— Mnie przyjmie z pewnością! Znam go lepiej od was — wołał dalej nieznajomy.

— Jak się pan nazywasz?

— Wymienię me imię samemu cesarzowi.

— To niepodobna!

— Puśćcie mię! — wołał nieznajomy, szamocąc się z strażą.

Cesarz usłyszał hałas w przedpokoju i wyszedłszy z gabinetu, zawołał z gniewem:

— Co to znaczy?

— Sire! — wołał nieznajomy uradowany widokiem cesarza — ci panowie nie chcą mię puścić do ciebie.

— Czego pan żądasz? — zapytał groźno cesarz.

— Sire! abyś mię poznał! — odpowiedział niezmięszany nieznajomy.

— Nie znam pana.

— Sire! Trzydzieści kilka lat temu...

— Nie pamiętam — odpowiedział niechętnie cesarz i chciał wyjść z pokoju.

Wtedy nieznajomy zbliżył się do cesarza i odgarnąwszy włosy, pokazał mu wielką bliznę na czole.

— Sire! — rzekł — gdy byłeś w szkole wojskowej...

Lecz Napoleon przerwał mu nagle wołając:

— Zadałem ci tę ranę kamieniem! A więc to ty jesteś! Witaj! Pamiętam - obiecałem ci wynagrodzić po królewsku...

I począł serdecznie rozmawiać z swym dawnym towarzyszem. Z rozmowy okazało się że był on w niedostatku żyjąc z małej

płacy urzędowej, że zawiść ludzi nie dopuściła mu posunąć się w służbie na wyższy stopień, że długo wahał się przedstawić cesarzowi a swemu dawnemu koledze, aż nareszcie zmuszony opłakanym losem, żąda od niego spełnienia dawnej obietnicy.

Jakoż Napoleon dotrzymał słowa.. Wsparł swego dawnego towarzysza obfitą sumą pieniędzy i mianował go wysokim urzędnikiem.

Biedny urzędnik wrócił bogatym i uszczęśliwionym od cesarza. Ale i cesarza twarz promieniła zadowoleniem, bo miło mu było spłacić młodociany dług wdzięczności.

Co mały gniewny Napoleonek zbroił, to wynagrodził cesarz Napoleon. Bierzcie sobie z tego opowiadania przykład, kochane dziatki i pamiętajcie że wdzięczność jest jedną z cnót najpiękniejszych.

PORCELANA.

W pyszne ozdobna kwiatki, złotem wykładana,
Śmiała się z białej, taniej, droga porcelana,
A dumna z wdzięków, gardząc rodem jednej matki,
Śmiała się z tej, którą skromne zdobiły bławatki.

Tak gdy swą powierzchowność aż nazbyt ocenia
Obaczmyż na co przyszło, jak się los odmienia:
Wszedł kupiec a mniej ważąc postać okazałą,
Chwalił drogą że piękna, ale kupił białą.

Wszedł drugi, a podobnież gardząc pozorami,
Minął błyszczącą piękność, kupił z bławatkami —
Tak to na chwilę złudzi wystawna ozdoba,
Dobre i skromne zawsze się podoba.

Ks. Karol Frezer, Reformat,

OPIEKUN SIEROT.

W Krakowie przy ulicy Rogackiej stoi nie wielki, ale schludny kościół św. Kazimierza królewica, z klasztorem OO. Reformatów, fundowany przez Franciszka Szembeka kasztelana kamienieckiego, na gruncie ofiarowanym na ten cel przez starostę krakowskiego Stanisława Warzyckiego, gdy dawny kościół OO. Reformatów na przedmieściu Piasek, wówczas Garbarze, wraz z klasztorem zgorzał podczas wojen szwedzkich w roku 1655. W smutnych dla Krakowa i dla ojczyzny naszej pierwszych latach zeszłego stulecia, słynął przytym kościele znakomity swego czasu kaznodzieja, O. Karol Frezer, rodem z województwa krakowskiego, z zacnych pochodzący rodziców, niegdyś towarzysz znaku hussarskiego, który z natchnienia Bożego porzuciwszy służbę wojskową, przywdział habit zakonny. Pamięć tego świątobliwego kapłana między ludem krakowskim, przechowuje się jeszcze.

Polska była wówczas w roztercę; Szwedzi pod Karolem XII. grasowali po kraju, na tronie polskim siedział chwilowo Stanisław Leszczyński; część ludności była za nim, część za wypartym z kraju, a niedawno obranym na króla Augustem II. elektorem saskim. Po bitwie pod Klisowem, Karol XII. opanował Kraków d. 10. sierpnia 1702. Szwedzi wpadłszy nocą do miasta, zaczęli od rabunku, a czego nie zrabowali to wycisnęli kontrybucjami. Kraków został zniszczony i złupiony, a powszechne cierpienia powiększała jeszcze bardziej myśl że do tych nieszczęść przyczynili się w znacznej części ziomkowie, Polacy, których złoto szwedzkie omamiło, a mianowicie pan starosta krakowski Franciszek Wielopolski, któremu król August II. powierzył obronę Krakowa, i inni acz mniej winni, którzy w zaślepieniu sądzili że pomagając Szwedom w nękaniu ojczyzny, ustalają na tronie polskim króla Stanisława Leszczyńskiego. Nie prędko skończyła się ta wojna, nie pręd-

ko Kraków odetchnął. Przez ośm lat następnych to Szwedzi, to Sasi, to Polacy, to Moskale, wydzierali sobie wzajemnie nieszczęśliwe to miasto; nieprzyjaciel łupił je kontrybucjami, Polak zasłonić nie zdołał, w Bogu tylko była nadzieja, ale i Bóg klęski zsyłał na Kraków; zwykłe następstwo wojny, drożyzna, głód, powietrze morowe, spustoszyły stolicę Piastów, tak iż ledwo trzecia część ludności ocalała. Domy pustką stojące powoli zamieniały się w gruzy, żołnierze rozrywali do reszty dachy i belki kamienic aby tanim kosztem zyskać drzewo na opał. Dokoła widać było ruinę i zniszczenie a na Wawelu także sterczały sczerniałe zgliszcza zamku królewsbiego spalonego przez Szwedów.

W owych to okropnych czasach przybył do Krakowa z nowicjatu Wielickiego wyświęcony już na kapłana, wspomniany wyżej O. Karol, a zapłakawszy nad niedolą miasta, jął wlewać pociechę chrześcijańską w serca strapionych, dodawać odwagi upadającym na duchu, zagrzewać wszystkich do wytrwania w cnocie i pobożności, do zdania się na łaskę Boga. Tłumy ludu krakowskiego spieszyły do szczupłego kościoła OO. Reformatów, aby usłyszeć pełne mądrości słowo Boże z ust kapłana, co nie dawno piersią ojczyznę zasłaniał, a teraz modli się za nią i wskazuje jej ścieżki Pańskie. Słowa ojca Karola były balsamem dla dusz cierpiących i strapionych, a zarazem wymowa jego porywała i przenikała serca nawet zakamieniałych grzeszników. W jednym z takich kazań, mianem w kościele swego zakonu, wziąwszy za osnowę słowa pisma św. „Błogosławiony mąż, który za złotem nie udał się, ani ufał w pieniądzach i skarbach“, powstał surowo przeciw tym którzy nad wszystko cenią dostatki, częstokroć nieprawnie nabyte, czasem łzami, a nawet krwią rodaków oblane. Straszył grzeszników sądem ostatecznym i sprawiedliwością Boga, który za krzywdę ojczyźnie i spółbraciom wyrządzoną, karze do dziesiątego pokolenia, wzywał ich do pokuty, poprawy, i zadośćuczynienia za grzechy.

Było na tem kazaniu wiele takich osób, które słowa księdza Karola mogły były wziąść do siebie, a między tymi pan

starosta krakowski Franciszek Wielopolski, o którym powszechnie mówiono że Kraków sprzedał Szwedom za pewną kwotę pieniężną i podarki dane jego żonie. Poczuł wyrzuty sumienia, bo przypomniał sobie że i on jest jednym z takich grzeszników, o których ojciec Karol mówi; uważali obecni jak się bił w piersi schylony w ławie i zasłyszano z cicha wymó-



wione: Moja wina. I nauka nie poszła widać w las, bo p. starosta zaczął od wynagrodzenia domom Bożym strat poniesionych od Szwedów i sprawił kosztowną sukienkę do obrazu Matki Boskiej Rożańcowej w kościele OO. Dominikanów, który niedawno złupiło rozjuszone żołdactwo tej samej nawet nocy, kiedy z poręki pana Wielopolskiego do Krakowa zostało wprowa-

dzone. Dziwna rzecz jednak że Matka Boska nie przyjęła tej ofiary; kosztowna sukienka po raz pierwszy włożona na obraz, zgorzała od świec na ołtarzu stojących, przyczem ogień bynajmniej nie uszkodził obrazu.

W ogóle kazania Ojca Karola wielki wpływ wywierały i zdarzało się że ledwo zszedł z ambony, nawróceni grzesznicy przychodzili do niego, wyznawali grzechy, prosili o radę i naznaczenie pokuty na zadośćuczynienie.

Pewnego razu przybył do niego spowiednik z innego kościoła i przyniósł ojcu Karolowi woreczek z dwudziestu dukatami, oświadczając że te pieniądze przysełał mu skruszony jego kazaniem grzesznik, który przed laty otrzymał te dwadzieścia dukatów od Szwedów, za wydanie mu koni, rynsztynków i sprzętów Ojca Karola, nim tenże wstąpił do zakonu.

Najpiękniejszą może stroną w życiu tego znakomitego kaznodziei, było opiekowanie się ubogimi i sierotami. Jako zakonnik, jako członek zgromadzenia żyjącego z jałmużny, nie mógł wprawdzie wspierać ich hojnemi dary, ale złotoustą wymową zdziałał dla nich stokroć więcej dobrego, jak niejeden pan najmożniejszy. Umiał on bogatym przemówić do serca, umiał obudzić litość i współczucie dla sierot a mianowicie dla tych, których ojcowie z życia swego przynieśli krajowi ofiarę.

Właśnie w owym czasie wielkie mnóstwo sierot błąkało się po ulicach Krakowa. Były to dzieci małe, niezdolne jeszcze do pracy, a pozbawione przytułku i opieki. Rodzice ich wymarli w czasie głodu lub na zarazę, lub wyginęli od oręża nieprzyjacielskiego, nie zostawiwszy majątku, lub jeżeli go zostawili, to na łup obcym. Poczciwi mieszkańcy Krakowa brali na wychowanie sierotki po dawnych sąsiadach, znajomych i przyjaciołach, ale będąc także podupadłymi, albo całkiem zubożałymi, nie mogli wszystkich wyżywić i wiele sierotek, nawet po takich, co w obronie kraju polegli, poszło w świat o żebranym chlebie.

Ojciec Karol wielce bolał nad niemi i wszelkiemi siłami starał się ulżyć nędzy sierot, a gdy się wszystkie środki wyczerpały, umieszczał je u swoich znajomych, sam się niemi opiekował i o ich potrzebach pamiętał, przyczem szlachetny ten mąż częstokroć walczyć musiał z wielu trudnościami, które dla innych byłyby niepodobne do pokonania.

Zdarzyło się raz że umarła uboga wdowa po zasłużonym urzędniku i zostawiła dwie małe sieroty bez sposobu do życia, bez opieki, których ksiądz Karol mimo najszczerszej chęci nigdzie nie mógł umieścić. Obszedł wszystkie znajome sobie rodziny, ale przekonał się że żadna z nich nie jest w mozności podjąć się nowego obowiązku. Pukał do domów zamożniejszych, i w imię Chrystusa usiłował wzniecić tam litość dla dwojga tych biednych dziatek, ale nadaremnie. Martwił się tem szlachetny przyjaciel ludzkości, ale wiedział że Bóg który jest ojcem sierot, nie opuści go w tym razie i wesprze prędzej lub pożniej. Jakoż rzeczywiście sam Bóg niebawem przybył z pomocą.

Jedna z zamożniejszych mieszczek krakowskich, znająca ks. Karola jedynie z kazań i świątobliwości, zgłosiła się do niego z prośbą o radę jaki ma ślub uczynić Bogu aby wymodlić powrót do zdrowia dla dwóch swoich córeczek, niebezpieczną chorobą dotkniętych.

Ks. Karol korzystając ze sposobności przedstawił jej że wzięcie do swego domu dwóch sierotek po łuczniku, pozbawionych rodzicielskiej opieki i schronienia — wychowanie ich pospołu z dziatkami własnemi milszem będzie Bogu jak wszelkie najuciążliwsze pielgrzymki i najkosztowniejsze wota.

Zacna kobieta uznała słuszność tej uwagi i rzeczywiście zrobiła ślub taki, że jeśli Bóg pozwoli jej córeczkom przyjść do zdrowia weźmie na opiekę dwie wskazane jej sieroty i wychowa pospołu ze swemi dziećmi.

Ślub musiał być miłym Bogu, bo modły zostały wysłuchane, ale jakaż to radość była dla księdza Karola gdy się przekonał że mieszczka święcie dopełniła ślubu, a jej córeczki ze łzami radości powitały przybrane rodzeństwo, dziękując oraz Bogu za nowego braciszka i nową siostrzyczkę.

PERŁY.

Było to jesienną porą po południu w niedzielę. Ponieważ dzień był prześliczny, Marjanek, Józio i Marynia chcieli wyjść na przechadzkę, na której się nie tylko ubawić, ale różnym przedmiotom napatrzeć mogli do woli.

— Sami pójść nie możecie, rzeknie mama — spodziewam się jednak pana Bednarskiego, on niezawodnie pójdzie z wami.

— Dobrze kochana mamo — odpowiedziały dziatki — poczekamy na niego, a mamy nadzieję że przyjdzie, bo nam przyobiecał.

Niebawem nadszedł pan Bednarski, który był nauczycielem tych trojga posłusznych dziatek.

— O! jakże się cieszymy z przybycia pańskiego! — zawołał uradowany Marjanek.

— Pewnie na przechadzkę macie iść ochotę? — zapytał pan Bednarski.

— O, i wielką kochany panie! radośnie odparli chłopcy.

— A więc zbierajcie się — póki jeszcze ciepłe świeci słońce.

Nie za długo zebrali się chłopcy i poszli z nauczycielem za miasto. Marynia z mamą pojechała w odwiedziny do znajomych.

Marjanek z Józiem przyglądali się uroczej okolicy, zieleniejącym się lasem, co tak pięknie ocieniały pobliskie wzgórza, to znowu biegali, chcąc po pilnej nauce w tygodniu użyć świeżego powietrza i swobodnych ruchów.

— A co to za stawek tutaj nie daleko? odezwał się Józio.

— Chodźmy bliżej ku niemu, przemówił Marjanek.

— Może w nim są rybki — odrzekli chłopcy — spróbujemy czy nam się uda złapać choć jednę?

Przystąpili bliżej, lecz zamiast rybek obaczyli pływające żabki.

Odchodząc znalazł Marjanek na brzegu nie wielką muszlę.

— Czy to żabki żyją w tych muszlach? — zapytał pana Bednarskiego.

— Nie, moi chłopcy — ludzie wprawdzie tak utrzymują, ale rzecz ma się inaczej. W wodzie znajduje się pewien rodzaj bezgrzbietnych zwierzątek, mięczakami zwanych, one to mając ciało miękkie i śliskie, bez stawów, wydają z siebie ciecz klejowatą, jak to już nieraz u ślimaków widzieliście, owoż z niej urabia się skorupa służąca im za schronienie. Żaby podobnych muszli tworzyć nie mogą, gdyż nie wydzielają żadnej cieczy, mają kości i dlatego liczą się do zwierząt grzbietnych. U nas mięczaków mało spostrzegamy gatunków, w morzu znachodzi się ich daleko więcej.

— A czy morskie muszle, spytał Józio, tak samo wyglądają jak nasze?

— Cokolwiek odmienniej — odrzekł nauczyciel — gdyż są większe i okrąglejsze; zamiast zielonkowatego mają po wierzchu czarniawy a wewnątrz dalekо jaśniejszy biały kolor. W nich to we środku są perły.

— Jakto perły? przerwał zadziwiony Marjanek — wszakże pan mówił że w muszlach przebywają mięczaki.

— I w morskich są te same zwierzęta — odrzekł pan Bednarski — Mając z natury bardzo delikatne i drażliwe nerwy, za najmniejszem dotknięciem o jaki przedmiot wypuszczają z siebie ową ciecz klejowatą. Zdarza się więc często że jaka okruszyna lub ziarnko piasku wpadnie do wnętrza muszli: mięczak aby uniknąć z tego powodu nacisku, okleja ziarnko dokoła cieczą, która zaschnąwszy staje się perłą.

— A nasze mięczaki tworzą także perły? — zagadnął Józio.

— Nie, nasze nie mają tej własności — to dzieje się tylko w morzu.

— A jakże zdołają ludzie z głębin morskich wydobyć owe perły? zapytał Marjanek.

— Przemysł i sztuka dostarczyły do tego sposobów. Rzecz to ciekawa i podobno radzibyście wiedzieć jak się odbywa połów pereł.

— Tak jest kochany panie! zawołali chłopcy.

— A więc posłuchajcie uważnie — W czasie żeglugi nieraz zatonął kosztownie naładowany okręt, przemyśliwano tedy nad sposobem, za pomocą którego dałyby się wydobyć na dnie morskiem pogrążone przedmioty. Chciano również poznać podwodną przyrodę, jej niezliczone skarby. Wynaleziono tedy dzwony i łodzie nurkowe już od bardzo dawna. Z początkiem XVI. wieku zapuściło się dwóch Greków w głębiny morza dzwonem nurkowym; w 1687 r. udało się pewnemu Szkotowi tym samym sposobem ocalić część zatopionej armady (wojennej floty) hiszpańskiej.

— A jak też wyglądają te dzwony nurkowe? zapytał Józio.

Na to rzekł pan Bednarski:

— Uważaliście już może nieraz że gdy n. p. przewróconą szklankę otworem ciśniecie do wody, szklanka nie napełni się wodą. Dzieje się to skutkiem powietrza, które się z szklanki

wyprzęć nie da. W podobnym tedy kształcie urządzają się dzwony nurkowe. Gdy się zapuszczą pod wodę, część ich górna pozostaje nienapełniona wodą, a więc ludzie bez obawy tamże jakiś czas zostawać mogą.

— Lecz ja wiem — przerwał Marjanek — że woda przez ciśnienie zgęszcza powietrze, którem człowiekowi oddychać trudno.

— I na to są sposoby aby w dzwonie odświeżać powietrze. Z wnętrza jego prowadzi z nieprzemakalnej i giętkiej materji sporządzona w tym celu rura, opatrzona u góry pompą, wpychającą świeże powietrze do dzwona. Teraz coraz dogodniejsze pojawiają się podobne przyrządy. Do takich należy dzwon przez miasto Hamburg w r. 1845 wraz z statkiem za 5.000 talarów nabyty, który jest cały żelazny, waży 130 cetnarów i może w sobie pomieścić dwóch robotników, mogących swobodnie poruszać się w jego wnętrzu.

— Jakże się zapuszcza taki przyrząd do wody? zapytał Józio.

— Kiedy statek stanie na pełnem morzu — odpowiedział pan Bednarski — zawiesza się dzwon nad wodą, nurki podpływają pod niego na łódce i wsiadają na ławeczki wewnątrz urządzone. Zszedłszy tak pod wodę, długiemi drążkami badają dno morskie, a spostrzegłszy na niem jakie przedmioty, uderzeniem młota o ściany dzwonu dają statkowi sygnał, według którego tenże za pomocą kotwic stosownie do potrzeby albo dalej lub bliżej posuwać się musi. Nurki mają na sobie z kauczuku zrobione odzienie, na głowie zaś hełm miedziany, z przodu szkłem polerowanem opatrzony, od którego idą rury aż na powierzchnię morza dla odświeżania powietrza. Niezmiernie bolesnych uczuć doświadcza nurek nim się dostanie w głębiny morza. Z początku przy spuszczaniu się doznaje duszenia, potem ciśnienia, z wielkim mozołem oddychać może, policzki mu naprężają się a głowa omal że nie pęknie. Dzieje się to wszystko w miarę głębokości pod po-

wierzchnią. U spodu nurek nie uczuwa już nic przykrego, częstokroć jednak narażony jest na różne przygody, które towarzyszą takim wyprawom. Wielkiej trzeba odwagi w zawodzie nurków. Omdlewają oni nieraz z długiego zaparcia oddechu, udarem bywają rażeni gwałtownym krwi, a częstokroć i potwory morskie zadają śmierć śmiałym podmorskim podróżnikom.

Coraz wszakże większe czynią ludzie ulepszenia w tym rodzaju wynalazku, coraz też większe odnoszą z niego korzyści i bezpieczniej wytrzymują w podwodnym świecie.

Gdy woda jest czysta, przy robocie nurkom nie potrzeba oświetlenia; w mętnej używa się światła. Robota pod wodą trwa od dwóch do czterech godzin po trzy razy na dzień w w letniej porze. Nurki oprócz wydobywania zatopionych rzeczy, pereł, korali i innych płodów podwodnych, usuwają kamienie i odłamy, rozbijają skały, jedne rzeczy wydobywają na ławeczkach w dzwonie, większe przedmioty opasują łańcuchem i windami wyciągają na wierzch. Wind przy statku jest trzy: jedną dźwiga się dzwon, druga go wciąga na pokład po robocie a trzecią windują znalezione przedmioty.

Przedsiębiorczy duch ludzki nie przestaje codziennie coraz nowych czynić cudów — wszystko rozwija się i doskonali. Dla ułatwienia czynności nurków wynaleziono podmorską elektryczną latarnię, która pod wodą bez przystępu powietrza długi czas palić się może.

(Dokończenie nastąpi.)

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1864.